

Gambia – mały kraj, duży problem

7 stycznia 2017

Rządy prezydenta Gambii Yahyi Jammeha wyglądają jak wielosezonowy serial telewizyjny.

Miesiąc temu wydawało się, że jego ciągnące przez 22 lata panowanie, w czasie którego w Gambii było i śmiesznie, i strasznie, wreszcie dobiegło końca.



Tymczasem niemal zaraz po zakończeniu ostatniego odcinka ostatniej serii, w którym prezydent Jammeh przegrał wybory i uznał zwycięstwo swojego przeciwnika, okazało się, że ten happy end to tylko wstęp do jeszcze jednej dawki tego cyklu. Zupełnie jakby reżyser nagle doszedł do wniosku, że decyzja o oddaniu władzy miała służyć tylko temu, by zrobić dramatyczny zwrot akcji. Niestety, to nie fantazja, ale dzieje się to naprawdę. A konsekwencje dla samej Gambii, jak i całego regionu mogą być bardzo poważne.

GROM Z JASNEGO NIEBA

Choć Gambijczycy bez wątplenia byli znużeni długoletnimi rządami prezydenta Jammeh, wynik wyborów prezydenckich 1

grudnia był zaskakujący. Nie trzeba tłumaczyć, że urzędujący przez cztery kadencje prezydent ma do swojej dyspozycji wiele środków, aby zapewnić sobie przewagę nad jakimkolwiek rywalem, a co dopiero nad mało znanym komukolwiek Adamą Barrowem. Ostatnie miesiące kampanii wyborczej zaznaczyły się nasilonymi represjami wobec opozycji. Po aresztowaniu 14 kwietnia 2016 r. przywódcy młodzieżowego skrzydła jednej z głównych partii opozycyjnych UDP (United Democratic Party – Zjednoczona Partia Demokratyczna) Ebrimy Solo Sandenga, który w tajemniczych okolicznościach zmarł w areszcie następnego dnia oraz uwięzieniu jej pozostałych liderów prezydent Jammeh zapewne uważał, że spacyfikował swoich przeciwników. Wielu obserwatorów uważa jednak, że osiągnął skutek przeciwny do zamierzonego.

W wyniku przedwyborczych aresztowań w więzieniu znalazł się kandydujący trzykrotnie w wyborach prezydenckich przeciwko prezydentowi Jammehowi przewodniczący UDP Ousainou Darboe, wydawało się zatem, że opozycja straciła swojego przywódcę. Tymczasem jednak wyłączenie go z rozgrywki okazało się dla przeciwników dyktatora katalizatorem jednoczącym ich siły. W kolejnych wyborach prezydenckich presja ze strony Darboe, aby to on, jako przywódca najsilniejszej partii antyprezydenckiej, był jedynym, a przynajmniej głównym kontrkandydatem Jammeha, rozbijało głosy opozycji. Bez niego, natomiast, opozycyjnym partiom udało się sformować koalicję, wystawiając jako swojego kandydata osobę, o której mało kto w Gambii wcześniej słyszał. Okazało się to rozwiązaniem opatrnościowym.

Mimowolne ułatwienie zjednoczenia opozycji może by nie wystarczyło do jej zwycięstwa, jednak prezydent Jammeh popełnił jednak jeszcze kilka brzemiennych w skutki błędów. Po pierwsze, wywodzący się z mniejszościowej grupy etnicznej dyktator zraził do siebie stanowiących 42 proc. ludności Gambii Mandinków. Po drugie – nie docenił zmian społecznych, które dokonały się tymczasem w jego kraju – determinacji młodych wyborców, nie widzących dla siebie perspektyw pod jego

rządami, oraz zaangażowania kobiet, które zmobilizowały się do głosowania i głosowały – jak się ocenia – w większości przeciwko niemu. Trzecim błędem prezydenta Jammeha było zaś dopuszczenie do zachwiania lojalności armii będącej od zamachu stanu w 1994 r. główną podporą jego władzy. Choć żołnierze byli włączani do prezydenckiej kampanii, niepewność co do tego, jak zareagują na odrzucenie wyniku było zapewne głównym powodem, dla którego w pierwszym odruchu oświadczył, że godzi się z porażką. Wydaje się, że dyktator podjął decyzję, aby nie ustępować dopiero, gdy upewnił się, że dowództwo armii jednak go poprze.

MIĘDZY UPOREM A DESPERACJĄ

Zmiana decyzji prezydenta Jammeha została najpierw przedstawiona w sposób cokolwiek oględny – ogłosił on, że wybory zostały sfałszowane i wystąpił z powództwem do Sądu Najwyższego, choć wcześniej głosił, że unikalny gambijski system wyborczy oparty na liczeniu kulek wrzucanych do urn przez głosujących uniemożliwia dokonanie fałszerstwa. Gdyby na tym poprzestał, byłoby to jak najbardziej dopuszczalną reakcją, jednak już uznanie, że nie zamierza ustąpić do czasu, aż jego skarga nie będzie rozpatrzona (sąd ma na to czas do 10 stycznia) łamie konstytucyjny porządek. Zgodnie z gambijską konstytucją tego rodzaju posunięcie nie może bowiem mieć wpływu na dalszy ciąg wydarzeń, które powinny nastąpić od momentu, gdy komisja wyborcza uznała, że wybory były ważne i ustaliła, kto w nich zwyciężył. Bez względu na czyjekolwiek protesty, nie pozostawia on innej możliwości, niż ustąpienie prezydenta Jammeha wraz z zakończeniem jego kadencji i zaprzysiężenie prezydenta-elekta Adamy Barrowa. Powinno się ono odbyć 19 stycznia 2017 r. Jest zatem jasne, że Jammehowi nie chodzi o nic innego, jak tylko o kurczowe trzymanie się władzy, a protest wyborczy jest jedynie pretekstem. Wkrótce po ogłoszeniu tej decyzji nadeszły następne posunięcia w ewidentny sposób mające uniemożliwić przejęcie władzy oraz represje w stosunku do mediów nieprzychylnych prezydentowi,

takie jak zamknięcie w ostatnich dniach trzech popularnych stacji radiowych.

Prezydent Jammeh od dawna miał opinię szefa państwa chwiejnego, żeby nie powiedzieć niezrównowalonego. Wielokrotnie podejmował decyzje – i to nierzadko wysoce kontrowersyjne – raczej pod wpływem nieprzewidywalnych emocji niż kalkulacji. Przypuszczalnie podobnie jest i tym razem, prawdopodobnie jednak bezpośrednim powodem tej ostatniej może być nie tylko chęć pozostania u władzy, nie tylko zmiana kalkulacji co do szans jej utrzymania w oparciu o armię i aparat represji, ale najzwyczajniejszy strach przed odpowiedzialnością, gdyż wydaje się, że tym, co pchnęło prezydenta Jammeha do niej była zapowiedź Barrowa, że gdy tylko obejmie władzę, podejmie działania na temat zmiany decyzji o wyjściu Gambii z Międzynarodowego Trybunału Karnego, którą kraj ten podjął w listopadzie 2016 r. A obecny prezydent miałby za co zasiąść przed nim na ławie oskarżonych. Szansa na to, że Gambia po raz pierwszy w swojej historii przeżyłaby bezkonfliktowo zmianę głowy państwa (od uzyskania niepodległości w 1965 r. miała tylko dwu prezydentów) została utracona.

PAT KRAJOWY, PAT REGIONALNY

Gambia jest najmniejszym państwem Afryki. Jej ludność liczy poniżej dwu milionów mieszkańców, a powierzchnia 10 tys. kilometrów kwadratowych, a zatem mniej więcej tyle, co najmniejsze z polskich województw. Mimo to gambijski kryzys polityczny ma znaczenie dla całego regionu Afryki Zachodniej, przede wszystkim dlatego, że zależnie od tego, w jaki kierunku się rozwinie i jaka, a przede wszystkim, jak zdecydowana będzie reakcja innych państw Ekonomicznej Wspólnoty Państw Afryki Zachodniej – integracyjnej organizacji, w której skład wchodzi łącznie 14 państw. Państwa ECOWAS niejednokrotnie w podobnych sytuacjach interweniowały, choć były to zwykle interwencje dyplomatyczne niż siłowe, uważane za absolutną ostateczność. Takie posunięcie wymagałoby, zresztą, mandatu

ONZ, której Gambia także jest członkiem korzystającym z ochrony swojej suwerenności. Mimo to prezydent Jammeh podnosi już larum, że rezolucja ECOWAS wzywająca go do ustąpienia i powstrzymania się od blokowania demokratycznego procesu to w praktyce akt wypowiedzenia wojny.

Misja mediacyjna, której podjął się w imieniu ECOWAS prezydent Nigerii – najsilniejszego państwa Wspólnoty – Muhammadu Buhari zakończyła się niepowodzeniem: prezydent Jammeh odrzucił zaoferowaną mu możliwość dobrowolnego oddania władzy. Nie wiadomo, czy nigeryjski kolega zaoferował mu jakieś gwarancje nietykalności po ustąpieniu, skądinąd wiadomo jednak, że takie gwarancje bywają niewiele warte – w 2003 r. Nigeria udzieliła azylu liberyjskiemu dyktatorowi Charlesowi Taylorowi, jednak trzy lata później odesłała go do Sierra Leone, gdzie został aresztowany, a obecnie odbywa wyrok 50 lat więzienia.

Nie godząc się na mediację Jammeh straszy eskalacją konfliktu i możliwością militarnej konfrontacji, przy okazji wskazując niedwuznacznie na Senegal, którego terytorium otacza niemal całkowicie jego kraj. Wiadomo, że relacje między Senegalem a Gambią, w czasie rządów Jammeha do dobrych nie należały. Do tego dodać trzeba, że w przeszłości senegalscy żołnierze na prośbę ówczesnego prezydenta Sir Dawdy Jawary interweniowali w walkach przeciwko podjętej przez lewicowe ugrupowania próbie obalenia dyktatora rządzącego od czasu uzyskania niepodległości (ostatecznie w 1994 r. obalił go dopiero Jammeh – wówczas 29-letni porucznik), a oba państwa przez następnych kilka lat tworzyły konfederację.

Prezydent Jammeh, jak się zdaje, nie czeka już na wyrok Sądu Najwyższego, wzywając do powtórzenia wyborów i nie wykazuje żadnych oznak, aby chciał ustąpić, co jednak ECOWAS jest w stanie zrobić, aby unormować sytuację? Rozwiązanie siłowe, mimo oskarżeń Jammeha, wydaje się na obecnym etapie mało prawdopodobne. W grę mogą wchodzić różnego rodzaju sankcje – zawieszenie w prawach członka ECOWAS czy też Unii Afrykańskiej, ale tego rodzaju instrumenty mogą okazać się dla

Jammeha mało znaczącymi groźbami, jeśli chciałby utrzymać władzę za wszelką cenę – poziom kontynentalnej i regionalnej integracji jest w Afryce nieporównanie mniejszy niż w Europie, a zatem naprawdę zdeterminowany prezydent może chcieć takie formy nacisku zignorować. To jednak by oznaczało, że afrykańskie instytucje po raz kolejny okażą się niezdolne do reakcji, a zatem ich autorytet zostałby poważnie osłabiony. A to by było bardzo złym sygnałem dla reszty Afryki, bo oznaczałoby, że w praktyce prezydentom wolno łamać prawo, że wolno dokonywać przewrotów, a konsekwencje są żadne.

Tymczasem w Gambii trwa dziwny stan, w którym nie wiadomo, co zdarzy się 19 stycznia – wszystkie opcje są możliwe, od ustąpienia Jammeha do konfrontacji między nim a społeczeństwem. Jeśli do nie dojdzie, nie obejdzie się pewnie bez ofiar.

Autorstwo: Grzegorz Waliński

Zdjęcie: [Tech. Sgt. Jeremy T. Lock \(U.S. Air Force\)](#)

Źródło: [Strajk.eu](#)